Rok I. Kraków, 15. lutego 1914. Nr 4.

NASZA CHATA

DODATEK DO „NOWEGO DZWONKA“

wychodzi w Krakowie dwa razy w miesiącu — dnia 1-go i 15-go.

ZŁOTE MYŚLI.

Człowiek bez charakteru,
Choć urośnie z wiekiem,
Jest pod względem moralnym,
Tylko pół człowiekiem.

Ten bogaty, kto ma czyste sumienie, zdrowy rozum i serce czułe na niedolę bliźniego.

Wszystko w swoim czasie.

W każdem gospodarstwie domowem istnieć powinien regularny porządek rzeczy, jeżeli w domu ma panować ład i punktualność. Przez to wszystkie prace mają czas i odpoczynek, nie zaniedbuje się niczego ważnego i cała rodzina doznaje zadowolenia.

Jako pierwszy warunek uważać należy wczesne wstawanie gospodyni domu i matki, która powinna świecić dobrym przykładem i dopilnować, aby domownicy, a zwłaszcza dzieci chodzące do szkoły, wstawały z łóżka o właściwym czasie. Tym sposobem znajdzie się dość czasu, aby dzieci były porządnie uczesane, umyte i ubrane, aby spokojnie i i uważnie odmówiły pacierz poranny. Pozostaje także czas na uporządkowanie książek i zeszytów i powtórzenie lekcyi. Dzieci mogą spokojnie wyjść z domu nie spóźniają się do szkoły.

Każda gospodyni domu powinna sobie rozłożyć prace codzienne na czas oznaczony i tylko w wyjątkowych razach odkładać je na później. Gdy mieszkanie uprzątnięte i statki od rana pomyte i poustawiane na swojem miejscu, rozpoczyna się praca w kuchni. Podczas gotowania można zużyć wolnych chwil na drobne zajęcia poboczne. Nieuniknioną jest rzeczą, że przy dokładaniu na ogień, chwytaniu różnych narzędzi kuchennych, ręce niemogą być czyste. Po wykonaniu tych grubszych robót też każda porządna kobieta myje dokładnie ręce i dba o to, aby wygląd jej własny i całej kuchni był czysty.

I tutaj należy podzielić pracę umiejętnie. Każda kobieta musi naprzód wiedzieć, co chce gotować i przekonać się przedtem, czy ma wszystko czego jej potrzeba. Oględnie powinna szafować solą i innemi przyprawami, niedbałość w tym względzie bowiem mści się na przygotowanym posiłku i psuje nieraz najlepsze potrawy.

Przedewszystkiem nie powinna gospodyni domu w kuchni zbyt być porywczą. Zbyt silny ogień i zanadto wielki pośpiech sprawiają, że potrawy stają się niestrawne albo niedogotowane. Dlatego trzeba zostawić sobie potrzebny czas i spokój przy pracy.

Jeśli przy gotowaniu ktoś oddaje się zanadto gorliwie jakiemuś pobocznemu

zajęciu, to nie może poświęcić dostatecznej uwagi potrawom, ogień albo pali się za mocno, albo za słabo, nie dopatruje się potrzebnego podlewania potraw rozmaitych, zupa przewraca się w garnku gwałtownie i traci na smaku, niejedno się przyswędzi lub przypali. Opał jest rzeczą kosztowną i niedopatrzenie ognia, zbytnie szafowanie węglami lub drzewem jest wyrzucaniem pieniędzy w błoto. Umiarkowany równy ogień w kuchni zawsze najlepszym a gdy się starannie przykrywa garnki, to znacznie lepiej utrzyma się pożywne składniki potraw.

Wielkie niedomagania wkradają się do domu, gdzie niema porządku i punktualności w podawaniu posiłków codziennych. Matka wraca z miasta z zakupnami. Dzieci przybiegają i proszą tak długo, dopóki zbyt pobłażliwa matka nie da im owocu, chleba lub czego innego nie myśląc o tem, ze nasycone o niewłaściwym czasie, nie mają potem apetytu przy obiedzie i oczywiście już nic jeść nie mogą. Innym razem znowu gospodyni domu powróciła późno z targu i nie może podać posiłku o właściwym czasie. Jakże przy takiej niepunktualności ma panować w domu zdrowie i spokój?

W każdem gospodarstwie domowem powinno być wszystko dokonane we właściwym czasie punktualnie i porządnie, bo tym sposobem unika się wiele zgryzoty i szkody, dzieci przyzwyczajają się zawczasu do punktualności i są przy tem zdrowe. Wskutek nieregularnego, niepotrzebnego jedzenia, obciążania żołądka łakociami traci się niejednego halerza, który oszczędzony rozsądnie przyniósłby gospodyni domu ładną może sumkę w ciągu roku. Niech więc każda gospodyni domu pilnie przestrzega punktualności i porządku który jest duszą każdego gospodarstwa.

Święć się Imię Twoje.

Trzeba iść, zejść do szybu, ludzie już muszą schodzić. Ha, no!

Oskarowicz czapkę nacisnął, podszedł do stolika, wyjął z niego rewolwer i w zanadrze wsunął.

Z górnikami trzeba ostrożnie, nie wiadomo co tam spotkać może w tych zakrętnych, wązkich kurytarzach, ciemnych, zionących wilgocią słoną ze ścian pokrytych zielonawą pleśnią.

Za odłamem soli, za bryłą, za belką, często zbrodniarza mściwa ręka czycha na przejście inżyniera, który wczoraj zestrofował za zbyt krótki sznur do dynamitu, za niedbałe podparcie osuwającej się komory.

Na chwilę nie wolno okazać osłabnięcia siły, trzeba patrzeć w oczy, jak sforze buldogów, tym źle płatnym, a zjedzonym od pracy ludziom i mówić ciągle ostrym, rozkazującym głosem.

Wyszedł wreszcie na dwór, zamykając drzwi na klucz. Ciemno jeszcze było zupełnie. Szaruga nocna jesienna aż wyła, aż jęczała dokoła. Całe strugi wody pokrywały płaszczyznę pustą, nagą straszną.

Oskarowicz szedł prosto, brodząc po wodzie, po wodzie, z obojętnością zupełną

Drogę znał dobrze. Ciężkie nieprzemakalne buty chroniły mu nogi. Ręce wsadził w kieszenie kurtki i kierował się ku rynkowi. W domach błyskały światełka

Oskarowicz wszedł wreszcie do restauracyi, w której zapalono lampy i przygotowano samowar. Podłogę zalewało błoto. Oskarowicz usiadł za stołem i pił herbatę z grubej zielonej szklanki. Przed nim leżał obdarty numer przedwczorajszej „Reformy“. Sięgnął po niego, ale zaraz rzucił. Co go obchodzić mogło, co się działo na ziemi? Wszak jego życie skupiało się teraz pod ziemią. Dziwny zbieg okolicznoś

ci! Za życia musi się przyzwyczaić do grobowej ciemności i mogilnej pleśni. Straszne, straszne! Zapłacił za herbatę i poszedł do szybu.

Gdy wszedł do sali, powitał go chór głosów:

— Szczęść Boże.

Odmruknął niewyraźnie i zaczął pośpiesznie wdziewać swój kitel i czapkę.

Gdy stanął na platformie windy, ogarnęła go nagła rozpacz. Znów do lochu, znów do tej głębi, w której niema dla niego nic, nic, żadnego promienia, żadnego uśmiechu, żadnego światła, nic.

Obok niego na platformie cisnęli się górnicy. Byli tam trybarze, kopacze, wozaki, wszyscy pomieszani razem, odziani jednakowo w jakieś szare, przesiąkłe wilgocią łachmany Twarze mieli ziemiste, oczy zagasłe, stali w milczeniu, obojętnie patrząc na czarne ściany, po których zsuwała się wolno winda w głąb ziemi. Oskarowicz patrzył na nich z zazdrością. Ile rezygnacyi jakiejś dziwnej, zaczerpniętej niewiadomo z jakiego źródła mieli w sobie ci ludzie! Szczególnie ten jeden, stary, siwy trybacz o szerokich jakby przełamanych plecach. Rezygnacya jego, rozlana na twarzy i w całej postaci, ma nawet w sobie pewną pogodę. pewną równowagę. Latarkę umieścił na piersiach, i łagodne śiwatło oblewa mu dolną szczękę i wyprowadza na jaw pewien dobroduszny uśmiech zwiędłych warg, W ręku trzyma koszyczek, w którym widać glonek chleba garnuszek i jakiś długi przedmiot owinięty w brudny papier.

Platforma windy była niewielka. Górnicy stali stłoczeni jak stado bydła. Powoli owiewało ich grobowe, ciepławe powietrze. Oni stali obojętni. Jeden z nich kaszlał cicho, drugi coś szeptał do sąsiada.

Oskarowicz stał na brzegu, wpatrzony w czarną masę ściany, przeciętą wiązaniem belek. które uciekały w górę, jaśniejąc na chwilę w mdłem świetle latarń i ginąc w czerni. I nagle na chwilę doznał jakiegoś ściśnienia serca. Coś się w nim zamroczyło, zaczęło rwać do światła, na powierzchnię ziemi.

Potarł ręką czoło. Gestem tym potrącił obok stojącego górnika.

— Przepraszam pana inżyniera! — wyrzekł ten natychmiast pokornym głosem.

Oskarowicz odwrócił się i miał na ustach słowa: „To ja was przepraszam“, ale przypomniał sobie, że z nimi trzeba jak z psami, ostro, i patrzeć w oczy, bo inaczej życie może być w niebezpieczeństwie. Nie odrzekł więc nic, ale mimowoli zwrócił wzrok na twarz starego górnika. Dziesiątki lat! Oskarowicz wpatrzył się w twarz górnika i ze zdumieniem nie dojrzał w niej ani goryczy, ani jadu, ani rozpaczy bezbrzeżnej. On sam, on, który na platformie tej windy zsuwał się tak dopiero od kilku miesięcy, on ma już takie dwie bruzdy rozpaczliwe koło ust, a ten szmat zjedzonego pracą ciała uśmiecha się prawie dobrodusznie w świetle swej latarki! Więc co go tak podtrzymuje? Co mu dodaje siły? Musi być przecież coś... Może żona, może dzieci, może... Nie, nie. Oskarowicz już poznał domowe życie tych górników. Nędza, klątwy, życie nad stan, pijaństwo... Więc co, więc co?

Winda stanęła z jakimś szumem, łoskotem.

Oskarowicz zszedł pierwszy i szybko minął próg izby windowej Rzucał się tak codzień w ten labirynt kurytarzy, codzień z uczuciem kogoś, kogo zmuszają do skoczeniaw w odę.

Nie schodził jeszcze na niższe piętra kominami zapomocą drabin. Dozorował na razie podpierania jednej z wybranych już komór, która groziła osunięciem się zupełnem.

Górnicy rozsypali się w rozmaitych

kierunkach. Tu i ówdzie w otchłani zaświeciły ich latarki i powoli ginęły w jakiejś czarnej mgle, kurytarze przepełniającej. Oskarowicz szedł po oślizłych deskach chodnika i mgłę tę zionął w siebie z jakąś rozpaczliwą wściekłością.

— Grób, grób! — powtarzał prawie bezprzytomny.

Za nim szedł ktoś, szedł cicho, ostrożnie.

Oskarowicz mimowoli rękę po rewolwer skierował, ale zaraz ją cofnął.

— Co tam, niech lepiej zabije, wolę śmierć niż takie życie.

Ale gdy przeszedł kilka kurytarzy i parę komór, a ciągle po chodniku słyszał za sobą te lękliwe, jakby czające się kroki, ogarnęło go tak wielkie zdenerwowanie, iż postanowił uwolnić się od tego natręta jakimkolwiek sposobem. Przystanął nagle, odwrócił się i w idącym za nim człowieku poznał starego górnika po koszyczku pełnym jadła i po dobrodusznej twarzy.

Natychmiast górnik dotknął swej czapki i wyrzekł grzecznym głosem:

— Szczęść Boże, panie inżynierze.

— Dokąd idziecie? — spytał Oskarowicz, i nie czekając odpowiedzi, usunął się z chodnika. — Idźcie naprzód! — rzucił rozkazująco.

Górnik usłuchał rozkazu, grzecznie, choć ciężko, przesunął się obok Oskarowicza i poszedł przodem, spiesząc się widocznie.

Oskarowicz szedł teraz jego śladem i w ślad za tą schyloną roboczą postacią biegły jego myśli.

— Kret, kret! nic więcej, życie całe przerzył w tej pleśni. Ha, ha!... I to się spieszy, tak się spieszy, jakby pod tą ziemią czekała go jakaś wielka radość, uśmiecha się nawet ten szaleniec, uśmiecha się w tym grobie! Dokąd on iść może?

Nagle, w oddali majaczy jakiś wieniec światełek na czarnem tle koło złotawych punkcików, a ponad nimi wyżej krwawa gwiazda. Ma to wielki tajemniczy urok zjawiska. Latarka górnika także spieszy w tym kierunku, jakby pociągana jakąś widzialną mocą. Oskarowicz przez chwilę zastanawia się. Co to za światła? Co to być może? Ale już przypomina sobie. To kaplica. Podziemna, wykuta w bryłach kaplica. Widział ją nieraz przechodząc. ale nie zwrócił na nią uwagi. Górnik jest już w kaplicy. I nagle jego biedna siwa głowa zjawia się teraz bez czapki, w aureoli owych złotych mistycznych światełek, które ją oświetlają prześlicznym, tajemniczym świetlanym blaskiem. Cała dobroć i łagodność tego starca rysuje się promiennie w tym świetlanym wieńcu. Włosy jego siwe nabierają srebrnego blasku... Ciemne brózdy nikną, tylko jakaś rzewna duchowa moc i czystość w połączeniu z rezygnacyą występuje w całej pełni z wyrazu, jakiego nabrały rysy i spojrzenie górnika. Oskarowicz zaczął iść bardzo cicho i gdy doszedł do wejścia kaplicy, stanął za filarem wpatrzony w twarz górnika, który przez chwilę długą stał tak oświetlony promiennie, a wzniósłszy oczy w górę. szeptał pacierze, od których drżały płomienie światełek. Potem pochylił się ku ziemi, wyjął z koszyczka jakiś przedmiot owinięty w papier, odwinął go i Oskarowicz ujrzał świecę, biedną, małą, tanią świeczkę. Górnik ciągle szepcząc pacierze, świeczkę do światełek zbliżył, zapalił, osadził na haku wbitym w w rodzaj mosiężnego świecznika i oto ona zapłonęła w kręgu mistycznych światełek u stóp krzyża. Górnik odstąpił od świecznika i stał teraz o kilka kroków od Oskarowicza, przypatrując się z widoczną radością, jak ta jego mała, tania łojówka płonęła wśród innych świeczek poprzednio już zaświeconych. Cisza panowała dokoła wielka, cisza stokroć więcej świą-

tynna i uroczysta, niż w najspanialszych katedrach o koronkowych, strzelistych wieżach. Ofiarne, ubogie światła płonęły w tej ciszy i ciemni cudownie i wspaniale. Oskarowicz doznał dziwnego uczucia. Czuł, że w nim całe serce mięknie, że chwyta go jakieś dziecięce rozrzewnienie. Tu był Krzyż, tu, przed nim Krzyż, początek i koniec wszystkiego. Krzyż w mistycznym wieńcu kornie u stóp jego uległych dusz zrezygnowanych i wielkich, wielkich swą pokorą, swą wiarą, swą ufnością.

Nagle górnik go dostrzegł. Ukłonił się znów i gotował do odejścia. Ale Oskarowicz szybko, prawie bezwiednie wyrzekł pierwszy:

— Szczęść Boże!

Nie poznał swego głosu, brzmiał on miękko, serdecznie prawie. U stóp tego Krzyża brzmieć inaczej nie mógł.

Górnik natychmiast odparł:

— Szczęść Boże, panie inżynierze!...

A potem, jakby w formie uprawiedliwienia, dodał:

— Ja, ot tak, zboczyłem na chwilę, ale zaraz idę do roboty. Chciałem oto moją świeczkę na chwałę Boskiego Imienia zaświecić, ale... ja idę... panie inżynierze!

Odchodził ale niesporo mu było. Z lubością patrzył na to swoje światełko, płonace na chwałę Boskiego Imienia w ciemnicy podziemnej.

— Zawsze to pięknie — wyrzekł rozgadanym tonem dobrego człowieka — skoro tak Panu Bogu na chwałę i my chudziaki świecimy światło. Bóg nasza jedyna pociecha i szczęście w ciężkiej pracy... Przez tę świeczkę, co święci Imię Twoje, Panie Jezu, w tej ciemności mam ukontetowanie na cały dzień pracy...

Przeżegnał się i drżącemi ze starości wargami dorzucił wpatrzony w migocący wilgocią Krzyż:

— Święć się Imię Twoje!...

Odszedł i — długo słychać było jego kroki po drewnianym chodniku, aż wreszcie ścichły zupełnie.

O słup oparty stał Oskarowicz nieruchomy i wpatrzony w wianuszek świec, które płonęły złotawo, ubogo, ale jasno, jak wiara tych prostych serc, które je do stóp Krzyża przywlokły. I echem cichem jeszcze brzmiały czarne ściany kaplicy.

— Święć się imię Twoje!...

Białonóżka.

Podanie szlacheckie.

Przebysław Śreniawita, dzielny i waleczny wojak, sterany wiekiem wracał z wojny w rodzinne strony do Proszowskiej ziemi. Jechał na Białonóżce, pięknej klaczy, co w niejednej towarzyszyła mu potrzebie, razem z nim dzieliła trudy wojenne i niejeden raz chyżością nóg rączych z niebezpieczeństwa wybawiła swego pana.

Wracał smutny i zgnębiony, Miał niegdyś w Proszowskiej ziemi liczne włości, dom okazały, przyjaciół moc wielką, i sług poczet liczny. Dzisiaj — wracał do małego, nędznego, dworku, do starej, szczupłej zagrody, leżącej u stóp wysokiej góry.

Majętności się wyzbył pracując dla kraju; nieszczęście Ojczyzny pozbawiło go mienia.

Pierzchło przyjaciół grono, gdy z bogatego stał się ubogim. Cały jego majątek — to Białonóżka rozumna i przywiązana do niego, jedyny druh i przyjaciel.

Przybył do zagrody i zamieszkał w dworku chylącym się do upadku, co długo stał pustką.

Późna jesień była, drzewa stały ogołocone z liści; suchemi liśćmi, rozrzuconemi, po ziemi, wiatr pomiatał. Wkrótce nadciągnęła zima ze śniegiem, mrozami i zawiejami. Smutno było w ubogim dworku Przebysława.

Trocha zostało grosiwa, więc z dnia na dzień wlókł życie nędzne, więcej dbając o Białonóżkę, niż o siebie. Jedyną i największą przyjemnością dla Śreniawity było wyjść na górę i zagrać na rogu pieśń wojenną, co brzmiała niegdyś na setnych polach... Białonóżka słysząc dźwięki znajome wybiegała ze stajenki i rżała radośnie, spoglądając na pana wielkiemi, roznmnemi oczyma.

Zabłysła wreszcie na niebie i ziemi wiosna,

budząc do życia uśpioną przyrodę, pieszczotą, donętami wabiąc ku sobie, wonią i pieśnią budząc ludzi.

Atoli Przebysław nie weselił się; blaski lśniące w przestworzu, jasne promienie słońca i gwar wiosenny do koła nie ożywiły go, nie dodały mu nadziei i nie zagrzały do życia.

Pochylił się ku starości bardziej jeszcze, smutek i zgryzota zasępiły mu czoło.

Przywołał raz dźwiękami pieśni bojowej Białonóżkę do siebie i zaczął się z nią żegnać...

Objął szyję konia i rzekł:

— Białonóżko moja, mój jedyny druhu, musimy się rozstać. Próżny jest żłób twój; niema ani garstki siana, ani ziarenka owsa. Pastwisk też nie mam. Sprzedać cię nie chcę, acz tylu kupców o ciebie się naprasza. Nie mogę! Byłaś mi wierną i nazbyt cię kocham. Idź, pędź w step bujny, tam znajdziesz paszę obfitą. Tam na swobodzie harcuj. Idź moja towarzyszko!

Sporzała na niego wymownie, jakby zrozumiała każde słowo.

Wyprowadził ją za wrota i ręką w dal pokazał.

Zarżała Białonóżka, schyliła głowę do nóg Śreniawity i po chwili pomknęła w świat.

Kilka razy zwracała mądry łeb ku panu aż znikła zupełnie.

Przeszła urocza wiosna i lato zbiegło skwarne. Nadciągnęła chmurna jesień.

Pomału, bardzo pomału wlokły się dnie Przebysławowi; na progu jego chaty zasiadła troska i ujęła go w swe ramiona... Tęsknił za Białonóżką, za swym koniem bojowym.

Przypominał ubiegłe lata, wielkie prace, dawne dzieje, burze i boje. Wszędzie i zawsze widział swego nieodstępnego i wiernego towarzysza, swoją Białonóżkę.

Gdy słyszał szmer liści spadających z drzew zdawało mu się, iż to w jego sercu one opadają; gdy wicher huczał, to słyszał jakby rozlegające się we własnej duszy jakieś dumki żałośne, jakieś skargi i jęki.

Gdy raz siedział tak późnym wieczorem w głębokiej zadumie, usłyszał nagle kołatanie do wrót.

Zdziwił się wielce.

— Cóżby to być mogło? pomyślał.

Wtem usłyszał rżenie Białonóżki.

— Nie, to zapewne wiatr jesienny, to chyba jeno złudzenie.

Białonóżka na stepie bujnym rej wiodła wśród tabunu koni; rżenie jej było rozkazem, na głos jej zbiegało się stado i dążyło, kędy ona chciała. Raz otoczona licznym orszakiem klaczy i źrebiąt wybrała się w drogę.

Dokąd?... Pomknęła na północ, ku polskiej krainie.

Ludzie usiłowali kilkakrotnie zatrzymać tabun w biegu. Napróżno! Konie tratowały wszystko po drodze i biegły dalej.

Na czele pędzi z grzywą rozwianą Białonóżka rącza, skry z pod kopyt się sypią, rży coraz radośniej, bo czuje zapach pól rodzinnych, bo zbliża się do ojczystej ziemi.

Kołatanie do wrót się wznowiło, rżenie Białonóżki głośniej się rozległo.

Wybiegł Śreniawita, otwiera wrota i oczom nie wierzy. Jest Białonóżka, a nietylko sama wróciła, ale jeszcze całe stado dzielnych koni panu swemu przywiodła.

Konie rozkupiono w mgnieniu oka i dzięki wdzięcznej a przemyślnej Białonóżce Przebysław odzyskał stracone mienie.

Na górze, którą nazwał Koniószą, wzniósł kościół okazały na pamiątkę odzyskania ojcowizny i powrotu towarzysza bojów.

Taka to opowieść z dawnych czasów o szlachcicu Śreniawie i dzielnej jego klaczy.

B. B.

Z gospodarstwa.

O puszczaniu krwi.

Do najwięcej rozpowszechnionych sposobów domowego leczenia zwierząt zalicza się puszczanie krwi. Gospodarze stosują to niemal przy każdem zasłabnięciu zwierzęcia, nie zwracając uwagi na to, że nadużycie owego sposobu może przynieść wielką szkodę i chorobę pogorszyć, a nawet i śmierć sprowadzić

Wogóle puszczania krwi należy unikać, choćby z tego względu, że zmniejszenie się ilości krwi w ciele, a szczególniej u zwierząt wychudzonych, nadwątla ich siły i zdrowie; prócz tego samo wykonanie powyższego zabiegu wymaga zachowania najściślejszej czystości (narzędzie, ręce).

Puszczenie krwi pozostawić należy tylko specyalistom i nie pozwalać wykonywać to

domorosłym znachorom. W razie, jeżeli zwierzę jest chore na jaką zarazę, naprzykład wąglik, i nie znający się na tem przystąpi do puszczania krwi, tylko przyczyni się tym sposobem do rozsiewania zarazy, gdyż rozlana krew z łatwością rozwleczona zostanie po gospodarstwie (psy, obuwie, słoma).

Puszczanie krwi przynosi zwierzęciu ulgę i pożytek tylko w razie przypływu krwi do mózgu gdy zwierzę straszliwie się rzuca na wszystkie strony.

Jak oduczyć kury od kwokania.

Powszechnie stosowane środki na ten tak nieraz dokuczliwy objaw u kur są raczej barbarzyńskiem męczeniem zwierząt. Owe zanurzania w wodzie, przywiązywanie gałganków itp zwykle niewiele pomagają.

Wielokrotne doświadczenie podaje nam inny środek. Na gałęzi drzewa uwiązać dosyć wysoko kosz, lub pudło, na tyle obszerne, by się w niem kwokająca kura wygodnie mogła pomieścić i usadzić ją tam wraz z karmą i naczyńkiem z wodą. Lekki powiew, ruszanie się kury, lub inne jakiejś przyczyny wprawiają kosz w częsty ruch wahadłowy. Praktycy twierdzą, że 13 godzin takiej huśtawki wyleczy kurę od kwokania.

Mają również pomagać: usuwanie kurze gniazd i sposobności usłania ich sobie, — zamykanie z czupurnym kogutem, lub przeniesienie do pustej komory, gdzie prócz ścian i gołej ziemi nic innego niema.

ROZMAITOŚCI.

Jakie są nasze oszczędności w Galicyi.

Stan naszych oszczędności składanych w Kasach oszczędności, w Kasach zaliczkowych i w Kasach Raiffeisena wynosił 31 grudnia 1910 r.:

w Kasach oszczędności: 318 milionów koron.

w stowarzyszeniach zaliczkowych polskich: 114 milionów koron.

w spółkach Raiffeisena: 43 miliony koron.

Razem wynosił stan oszczędności naszych z początkiem 1911 r. 475 milionów koron.

Ostrzeżenie dla wychodźców.

Kolonia rosyjsko chrześcijańska w Filadelfii zawiadamia za pośrednictwem gubernatorów ludność państwa rosyjskiego, że obecnie panuje w Ameryce zastój przemysłowo ekonomiczny w szerokim zakresie i dlatego wszyscy nowi przybysze-robotnicy, mający nadzieję znalezienia zarobku w Ameryce, muszą być narażeni na dotkliwy zawód.

Wiadomość ta przyda się i wielu wychodźcom z ludu naszego, jeszcze żywiącego ślepą nadzieję na złudne powodzenie w Ameryce.

Okrutne morderstwo w obłąkaniu.

W Suchym, pod Kraśnikiem (w Lubelskiem) zdarzył się wypadek okrutnego morderstwa, popełnionego w obłąkaniu

Włościanin Stanisław Jastrzębski, mający 22 lata, zamordował w nocy siekierą ojca swego, matkę i starszą siostrę. Młodsza siostra, 10-nia dziewczyna, jakkolwiek poraniona zdążyła uciec Szaleńca, rozbrojonego przez sąsiadów, odwieziono do Kraśnika i osadzono w areszcie.

Miliony na wódkę.

Według sprawozdania głównego zarządu rządowej sprzedaży trunków w r. 1912 spożycie wódki monopolowej wzrosło we wszystkich miejscowościach państwa rosyjskiego, z wyjątkiem Syberyi wschodniej.

Co do Królestwa Polskiego w sprawozdaniu tem znajdują się wykazy, że spożycie wódki również wzrasta. W roku 1905 wódki spożyto 3.684,663 wiader za sumę przeszło 29 milionów, w roku 1911 przeszło za 43 miliony, a w roku 1912 za 45 milionów rubli.

Należy wziąść pod uwagę, że w liczby te wchodzi także spirytus zużyty na cele przemysłowe.

Wyrodny syn i szlachetny ojciec.

W jednej restauracyi w Petersburgu zabawiało się pijatyką grono oficerów rosyjskich, wśrod których rej wodził porucznik Kobzaków.

Tenże już dobrze podpity, zażądał od właściciela restauracyi, by sprowadził muzykę cygańską Gdy się cyganie zjawili, a wśród nich młoda cyganka, pijany Kobzaków zobaczywszy ją, chciał ją zniewolić do rozpusty. Cyganka oparła się stanowczo, a gdy nadto jej ojciec stanął w jej obronie, począł Kobzaków strzelać do cyganów, przyczem ciężko poranił cygankę a ojca jej zabił.

Gdy się o tem dowiedział jenerał Kobzaków, ojciec pijanego mordercy, postanowił okazać

swe współczucie ofiarom morderstwa, popełnionego przez wyrodnego syna.

Przedewszystkiem udał się wraz ze starszym synem, a bratem zabójcy, do cerkwi i złożył na trumnie zabitego cygana wieniec z żywych kwiatów i sam na swych barkach z synem wyniósł trumnę z cerkwi, całował ją i prosił o przebaczenie dla syna a potem z odkrytą siwą głową odprowadził zwłoki cygana na cmentarz.

Wróciwszy stamtąd, zajął się losem córki cygana, zranionej przez młodego Kobzakowa. Życiu dziewczyny nie grozi żadne niebezpieczeństwo, ale stan jej zdrowia jest bardzo smutny, nie odzyskała dotąd przytomności, z przerażenia straciła mowę. Generał umieścił ją w pierwszorzędnej lecznicy, oświadczając, iż uważa za swój święty obowiązek poświęcić biednej sierocie resztę życia i dziewczyną opiekować się będzie jak własną córką.

Te wypadki zrobiły wielkie wrażenie w Petersburgu. Czyn porucznika wywołał powszechne oburzenie, natomiast wszyscy są z najwyższem uznaniem dla szlachetności generała.

Gazeta w pociągu.

W Północnej Ameryce w tych dniach zaczęła wychodzić gazeta, która drukuje się w pociągu. Drukarnia mieści się w specyalnie przygotowanym wagonie. Na jednej ze stacyi np. w St. Paul otrzymują wszystkie wiadomości, które składają zecerzy. Pospieszna maszyna stoi również we wagonie i kiedy pociąg pędzi z największą szybkością (140 km. na godzinę), tej samej chwili puszczają w ruch maszynę, a na stacyach po drodze wyrzucają dopiero co odbite świeże numery.

Tym sposobem na dostawę pisma nie stracono ani minuty. Wagon przebiega od St. Paul do Sytla i z powrotem, dwa razy dziennie; gazeta wychodzi w dwóch wydaniach — rano i wieczorem — i nazywa się „Słońce siedmiu stanów“.

Skutki mrozów we Francyi.

Mrozy, panujące od niedawna we Francyi, spowodowały wiele wypadków śmierci. Oprócz tego wzrosła widocznie z powodu mrozu liczba czynów karygodnych. Więźniowie, którzy odsiedzieli swoje kary, z powodu zimna nie chcieli opuścić więzień i oświadczyli, że natychmiast znowu dopuszczą się jakiegoś przestępstwa, by czem prędzej dostać się do ciepłego więzienia. W Paryżu zapanowała z powodu mrozów wielka drożyzna warzyw.

Wskutek mrozów także — pojawiły się w lasach pod Barbillon wilki. Z różnych okolic północnej Francyi również nadchodzą wieści o nagłem pojawieniu się wilków. Wśród ludności owych okolic panuje wielki niepokój.

Powodzie.

Z wyspy Madagaskaru, leżącej koło wschodnich brzegów Afryki, nadeszły wiadomości o strasznych powodziach, które wyrządziły wielkie szkody, szczególnie w mieście stołecznem Tanariva, położonem nad rzeką Ikopa. Wszelki ruch na wyspie ustał.

W Brazylii w stanie Bachia zalały wezbrane wody rzek kilka miast. Dwa tysiące ludzi przepadło bez wieści. Szkody olbrzymie. Podobne wieści nadchodzą z Pernambuko. Wszędzie rozesłano pogotowia ratunkowe.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:
Ks. Marceli Dziurzyński.
Drukarnia W. Poturalskiego Podgórze-Kraków